

Zachód – potłuczone naczynie¹

Zachód jako podmiot społeczno-polityczny oparty na ideologii demokracji liberalnej jest widmem. Francuski filozof, historyk i politolog Alain Besançon wykazywał kiedyś, że widmem jest Rosja, ponieważ nie sposób jest dać pozytywny opis jej istoty. Fundamentem Rosji miała być filozoficzna negacja Zachodu, gdy tymczasem czysta negacja nie może być uzasadnieniem – jak powie filozof, racją – żadnego rzeczywistego bytu (podobnie rzecz się ma ze złem, które jest brakiem dobra). Także demokracja liberalna nie ma żadnego fundamentu, który ją pozytywnie określałby, i nie może przeto dać żadnej legitymacji organizacji społecznej (państwu, prawu). Tym samym np. termin „demokratyczne państwo prawa” jest dziś wewnątrznie sprzeczny.

Stwierdzenia te wydają się niektórym zbyt ostre – zawarłem je kilka lat temu w jednym ze swoich krótkich artykułów i tak właśnie te słowa bywają odbierane. A przecież ów brak fundamentu jest tym, z czego liberałowie są dumni i przeto nic dziwnego, że dziś – by użyć porównania Ryszarda Legutki – możemy wymarzony świat liberałów uznać za podobny do domu towarowego, w którym dostępne są wszelkie towary i każdy może sobie wybrać towar mu odpowiadający, nie zwracając uwagi na zdanie jakiegoś autorytetu, o przywołaniu racji głębszych nawet nie wspominając.

Liberalizm chciał być filozofią, ale przyjąwszy fałszywą wizję człowieka stał się programem – dziś mówi się projektem – ucieczki od namysłu nad istotą człowieczeństwa oraz od tego co dotąd dla człowieka kultury łacińskiej było najważniejsze. Ograniczył się do ucieczki, której celu nie potrafił podać.

Powyższe zdania rozpoczynają skromnych rozmiarów książkę, którą złożyłem do druku w wydawnictwie Biały Kruk i która ma się ukazać jesienią tego roku. Pokazuję w niej, że liderzy oraz zwolennicy wspomnianej ucieczki są w istocie rzecznikami obłędu i końca historii człowieka znanego łacińskiemu Zachodowi. Czynią wszystko, co mogą, by potłuc naczynie wypełnione kulturą chrześcijańską, która czerpała z życia i nauczaniu Jezusa Chrystusa, Pisma Świętego, spuścizny starożytnej Grecji i Rzymu. Owa całość kierowała spojrzenie człowieka ku Bogu i w Nim znajdowała źródło ładu rządzącego człowiekiem i całym kosmosem, czyniła życie człowieka sensownym oraz wartościowym.

Również starożytni Grecy potrafili dostrzec, iż człowiek żyje we wszechświecie, którego porządek jest dany „skądinąd”, można rzec, z góry – mocą boskiej decyzji. To nie człowiek jest miarą wszechrzeczy, nie on ustala kryteria moralne, lecz bóg. Ale też już wówczas byli filozofowie – Protagoras (ok. 480 przed Chr. – ok. 410 przed Chr.) i inni sofisci – którzy uznawali, że prawdę poznajemy tylko przy pomocy zmysłów, że zatem wszystkim, czym

¹ Artykuł ukazał się w miesięczniku „WPIS” nr 5/2022 (139).

człowiek może się kierować, są jego uczucia i pragnienia, że nie ma prawdy powszechnej, ponieważ prawda jest dla każdego inna. Nie wiadomo, czy bogowie istnieją, czy nie, i ostatecznie pozostaje orzeczenie Protagorasa, iż „wszystkich rzeczy miarą jest człowiek”, który niejako sam się stwarza i na pewno sam stwarza kryteria, wedle których ma postępować. Z tym, że taka myśl nie była myślą dominującą.

Aż do końca XIII wieku rdzeniem myśli Średniowiecza był realizm i racjonalizm. Innymi słowy, myśl ta uznawała realność tego co poznajemy i jak poznajemy. Uznawała wartość naszego poznania rozumowego, w ramach którego rozum podsuwał nam pojęcia pomagające zrozumieć i opisać co poznajemy. Święty Tomasz z Akwinu (1225 – 1274), doszedłszy jako filozof do konieczności istnienia Boga i tego, że „bycie” Boga jest dla człowieka całkowicie niezrozumiałe, potrafił pogodzić tę totalną transcendencję Boga z jego stałą obecnością w świecie. Potrafił też wykazać, iż człowiek – jako stworzenie rozumne – posiada zdolność rozpoznania co jest prawe i przeto kierowania się ku dobru, które wynika z ustalonego przez Boga prawa wiecznego, czyli z narzuconego przez Boga ładu wszechrzeczy. Taki był rdzeń myśli nazwanej w filozofii „drogą starą” (*via antiqua*).

Wiek XIV otworzył „drogę nową” (*via moderna*) w myśli Zachodu, o której pierwszych wiekach tu nie wspomnimy. Z końcem XVII wieku nadeszło Oświecenie, które radykalnie odrzuciło chrześcijańskie zwrócenie się ku transcendencji, ku Bogu, odrzuciło szukanie tam źródła oraz celu istnienia. Oświecenie zwróciło się ku wyjaśnieniu wewnętrznej struktury człowieka przez analizę jego własnego jestestwa – działanie fizycznej wrażliwości lub mechanizmu przyjemności-bólu. Podobnie do starożytnych sofistów przyznało prymat świadectwu zmysłów. W myśli zachodniej doszło do odwrócenia kierunku – spojrzenie ku Bogu zostało zastąpione przez wejrzenie w siebie. Oświecenie ogłosiło też bezwzględną autonomię rozumu – rozum stawał się instancją najwyższą. Uczyniło rozum niezależnym od objawienia albo ogólniej, jak u Greków, od wyższego ładu. Ale rozum bez tego zaczepienia w objawieniu staje się podejrzany i nieważny, nie prowadzi do prawdy, lecz donikąd.

Jak pisał filozof Eric Voegelin w książce „Od Oświecenia do rewolucji”, zasygnalizowanemu *Odwróceniu kierunku towarzyszy wypaczenie idei ładu: nieporządek namiętności zostaje zaakceptowany jako normalny ład duszy ludzkiej*. Oświeceniowe proklamowanie autonomii rozumu musiało skończyć się poddaniem rozumu w niewolę namiętnościom. Było to zniszczenie integralności osoby ludzkiej, ponieważ został jej odebrany przekraczający ją cel istnienia.

Dziewiętnasty wiek zaczął się na europejskim kontynencie od triumfów liberalizmu w jego wersji prodemokratycznej oraz antykatolickiej, i jednocześnie agnostycznej albo protestanckiej. Według tyleż trafnej co lapidarnej opinii Erica Voegelina taki liberał to człowiek, który *chce brać udział w rewolucji do momentu, w którym cywilizacja zostaje zniszczona w stopniu odpowiadającym jego własnej niepełnej osobowości*. Wczesny liberał sądził, iż wystarczy zniszczyć to, czego nienawidzi, a potem się wszystko jakoś ułoży. Pierwszoplanowym celem liberalizmu jest maksymalizacja wolności dla każdego obywatela,

równego we wszystkim co możliwe innym obywatelom. Instytucja Kościoła oraz instytucjonalnie usankcjonowana hierarchia społeczna stały rzecz jasna na przeszkodzie tak rozumianej wolności osobistej. Wraz z likwidacją dawnego ładu hierarchicznego, podtrzymującego lokalny i partykularny charakter wspólnot, i wraz z towarzyszącym tej likwidacji rozrostem scentralizowanego państwa biurokratycznego, tradycyjne normy religijne i kulturalne traciły charakter norm oczywistych i organicznych, uświęconych przez Boga i tradycję. Państwo weszło w rolę instytucji stojącej na straży – możliwej na danym etapie – maksymalizacji równości i wolności dla każdego. Własność prywatna przestawała być najważniejsza, a przez niektórych zaczęła być widziana jako zło, ponieważ stawała na przeszkodzie wspomnianemu dążeniu do równości i wolności dla każdego. Z czasem radykalni liberałowie stali się socjalistami, zaś umiarkowani zafundowali Zachodowi państwa opiekuńcze i demokrację liberalną.

Zasygnalizowane procesy sprzyjały powstaniu reżimów bliskich totalitarnym albo wręcz totalitarnych – komunistycznego i narodowo-socjalistycznego. W miesięczniku „Chronicles” – założonym w Ameryce przez Leopolda Tyrmanda – filozof Donald Livingston tak pisał w 1999 roku:

[Ludobójstwo i barbarzyństwo XX wieku] nie byłoby możliwe bez bezprecedensowej koncentracji władzy w nowoczesnych państwach. Gdyby Hitler i Stalin byli XVIII-wiecznymi monarchami, nie wymordowaliby milionów, ponieważ nie mieliby władzy pozwalającej na zmobilizowanie wszystkich niezbędnych do tego środków. Byliby ograniczeni przez inne, niezależne i wpływowe ośrodki władzy i autorytetu (Kościół, szlachtę, władze lokalne), które – równie potężne w sferach swej kompetencji jak władza monarsza – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sprzeciwiłyby się barbarzyństwu.

Livingston zwracał uwagę, iż reżimy europejskie były ekonomicznie liberalne, ale tylko dla tych, którzy centralizowali i konsolidowali mniejsze podmioty polityczne w wielkie organizmy państwowe. Ekonomiczna wolność była małym podmiotom odbierana. Gdy owe lewiatany starły się w 1914 roku, na polach bitew pozostawiły w ciągu czterech lat więcej trupów niż we wszystkich wojnach wcześniejszego dwustulecia. Można bez przesady powiedzieć, że XIX wiek – aż do wybuchu I wojny światowej – był w Europie wiekiem wojny stuletniej przeciw małym podmiotom politycznym dowolnego typu, wojny w imię centralizacji, unifikacji i konsolidacji, po której nastąpiła wojna osiemdziesięcioletnia XX wieku, w której stanęły przeciw sobie gigantyczne lewiatany stworzone w wieku XIX, zakończona rozpadem ZSRS.

Założyciel bankierskiej i finansowej dynastii Rotszyldów, Mayer Amschel Rothschild (1744 – 1812) tak mówił: *Daj mi kontrolę nad podażą pieniądza narodu, a nie będzie mnie obchodzić kto tworzy jego prawa.* Nieważne, kto jest formalnym suwerenem, ważne, kto rządzi pieniądzem. Nie bez kozery wielki poeta Henryk Heine zapisywał w 1841 roku, iż *Pieniądz jest bogiem naszych czasów, a Rothschild jego prorokiem.* Postępowało coraz silniejsze związanie świata wielkiej polityki ze światem finansów.

Napoleon Bonaparte miał rację mówiąc, że pieniądz nie ma ojczyzny, ale nawet sto lat po jego śmierci w roku 1821 zysk amerykańskiego finansisty niósł dobro jego ojczyźnie. Tak było, ale już nie jest. Współczesny finansista może być Amerykaninem, ale nie jest już finansistą amerykańskim. Mamy globalny, niezwykle silnie usieciowiony ład ekonomiczny (teraz akurat ta sieć przeżywa i przeżywać będzie różne rekonfiguracje, wcześniej spowodowane uaktywnieniem się chińskiej potęgi, obecnie rosyjską napaścią na Ukrainę, ale to nie jest tu istotne).

Badacze ze słynnej Politechniki Federalnej w Zurychu (ETH), James Glattfelder, Stefania Vitali i Stefano Battiston, opublikowali kilka doskonałych prac, w których przeanalizowali strukturę własności wielkich korporacji ponadnarodowych. Dowiadujemy się z nich, jak skomplikowana jest sieć udziałów we własności tych korporacji i w jak niewielu rękach jest ta własność skupiona. Dowiadujemy się, że 767 największych posiadaczy udziałów w takich korporacjach, z których produktów i usług korzystamy bez przesady nieprzerwanie, sprawuje kontrolę nad 80% ogólnej wartości wszystkich tych korporacji. Zaledwie 147 największych i mocno między sobą powiązanych właścicieli udziałów sprawuje kontrolę nad 40% ogólnej wartości wszystkich ponadnarodowych korporacji. Największymi wśród tych największych są w ogromnej większości podmioty z sektora finansów – m.in. i przede wszystkim inwestycyjne fundusze powiernicze BlackRock, The Vanguard Group Inc., State Street Corporation, The Capital Group Companies Inc., oraz banki JP Morgan Chase & Co., Merrill Lynch and Co., Goldman Sachs Group Inc., Bank of New York Mellon, Bank of America Corporation, Morgan Stanley, brytyjski Barclay's, niemiecki Deutsche Bank AG, szwajcarski Credit Suisse Group.

Dla przykładu, fundusz BlackRock jest największym udziałowcem w co piątym amerykańskim przedsiębiorstwie notowanym na giełdzie, biorąc w tym wyliczeniu pod uwagę również banki. BlackRock rokrocznie wysyła listy do prezesów głównych korporacji z zaleceniami dotyczącymi przyjmowanych przez te korporacje strategii. W 2016 roku takich pism było 750. Odnotujmy też, iż na początku 2021 roku suma aktywów pozostających pod zarządem czterech największych funduszy powierniczych (BlackRock, Vanguard, Fidelity oraz State Street) wynosiła prawie 22 biliony USD (dla porównania: PKB USA wynosił niespełna 21 bln USD, natomiast PKB Polski niespełna 0,6 bln USD).

Czy jest do pomyślenia, by taka korporacyjna elita nie miała wpływu na rządy, więcej, nie była filarem oligarchii rządzącej światem? Czy było np. możliwe przyjęcie przez polityków planów rozwoju produkcji energii ze źródeł odnawialnych bez uprzedniej na to zgody tej elity? Realizacja których to planów pochłonie biliony dolarów? Nieważne było, czy są to plany korzystne z punktu widzenia ludów Zachodu i reszty świata, ważne, że odpowiadały interesom oligarchii. Nie ma wątpliwości, że każda strategia polityczna na dużą skalę – amerykańska czy unijna, czy oby tych podmiotów razem – musi być zgodna z przyjętą strategią świata finansów i biznesu.

To prawda, że wojna na Ukrainie skomplikowała wzajemne relacje między światem polityki z jednej strony oraz światem finansów i biznesu z drugiej, że wprowadziła pewne zamieszanie w już realizowane strategie, ale i jedni, i drudzy będą pracować nad tym, by te relacje wróciły do starej „normy”. Większym problemem dla obydwu światów pozostanie jakieś ułożenie się z Chinami. Ale te rozważania zostawmy na boku. (Więcej o rządzącej oligarchii i jej kłopotach wynikających z obecnych zawirowań ekonomicznych oraz geopolitycznych może Czytelnik przeczytać w moim artykule „Zmierzch Zachodu. Historia niepolityczna”, powstałym m.in. w oparciu o dostępne przez Internet prace Polaków – przedwcześnie zmarłego Marka Chlebusia i Marcina Malinowskiego – i opublikowanym na stronach portalu „Wszystko co Najważniejsze”.)

Pewne – i niezwykle istotne w kontekście tego artykułu – jest to, że i polityka amerykańskiego hegemonu, i polityka UE musi mieć charakter ponadnarodowy, i to nawet bez ugruntowania tej polityki w jakichkolwiek ramach ideowych. Tego chce rządząca oligarchia. Potrzebny jest rząd niejako ponadnarodowy, pozostający na usługach świata finansów i biznesu, starający się zaprowadzić globalnie obowiązujący ład międzynarodowy bez oglądania się na preferencje obywateli. Na przykład taki rząd mieli Amerykanie przez lata i mają go mieć znowu. Z tego układu starał się do pewnego stopnia wyzwolić Donald Trump i w 2020 r. przestał być prezydentem.

Globalna strategia, którą od dekad proponują najważniejsze środowiska doradców politycznych i której głównym architektem jest świat finansów i biznesu, wymaga nowego spojrzenia na człowieka – ma to być obywatel świata, dobrze dopasowany trybik w wielkiej globalnej maszynie. Taki trybik może być biernym proletariuszem albo świadomym współbudowniczym nowego ładu. Rządzący oligarchowie – ci prawdziwie rządzący, panowie finansów, mający do pomocy rządy państw – w ogromnej większości nie mają w zasadzie nic przeciwko religii i rodzinie, życiu ludzi w lokalnych wspólnotach, np. parafialnych albo jeszcze mniejszych, byleby ta religia, rodzina, życie w lokalnej wspólnocie nie zagrażały budowie ładu ogólniejszego, w zamierzeniu globalnego. Tu jednak rodzi się problem nie do rozwiązania. Zostanie obywatelem świata wymaga specjalnego przygotowania – wymaga wychowania do bycia takim obywatelem, wymaga właściwej edukacji. A ta edukacja nie może kultywować niczego co lokalne, co buduje godziwe życie konkretnych osób, żyjących w konkretnym miejscu i w konkretnym czasie. Obywatel świata nie może być prawdziwym chrześcijaninem, żydem, czy muzułmaninem, w kraju swego urodzenia nie powinien widzieć ojczyzny, z którą miałby się czuć szczególnie związany. I dlatego oligarcha musi zgodzić się na takie programy szkolne oraz uniwersyteckie, które będą kształcić owych obywateli świata. Najlepiej, gdy szkolnictwo podstawowe i średnie ma centralnie ustalone i przez państwo zatwierdzone programy, i szkoły działają pod państwowym nadzorem.

W tym miejscu spotykają się potrzeby oligarchii z ideologią liberalną i lewicową ze zbawieniem bez Boga, ideologią, której nie przyświeca żaden cel pozytywny. I oto dziś Zachód znalazł się na krawędzi przepaści. Popada w obłąd. Nie ma innego określenia dla społeczeństw, w których można z powagą głosić, że człowiek nie ma obiektywnie mu danej

natury, lecz sam się określa, np. dziś przedstawiając się jako mężczyzna, a jutro kobieta. Potrzeba obłędu, by zachodni prawodawcy mogli dziś związki homoseksualne nazywać małżeństwami i np. wysocy urzędnicy UE starali się karać przeciwników tego absurdałnego stanowiska. Potrzeba obłędu, żeby na uniwersytetach nauczać genderyzmu i nienawiści do własnej historii.

Wspomniana nienawiść do własnej historii przyszła najwcześniej. Filozof Roger Scruton nazwał ją ojkofobią, czyli strachem przed własnym domem – potępieniem własnej, zachodniej kultury. To bezpośrednie dziecko neomarksizmu w tej czy innej wersji, zasiania kulturalnego pesymizmu i edukacyjnego prania mózgow. Inne, obecnie szczególnie widoczne oblicza tego obłędu to (opisane dalej cztery rodzaje obłędu można opatrzyć wspólną nazwą humanofobii – strachu człowieka przed ... człowiekiem):

- Zastosowanie się do postulatu Jana Jakuba Rousseau (1712 -1778) – nieważne, że nieświadome – by człowiek wrócił do stanu inteligentnego zwierzęcia i żył, by ... żyć, możliwie komfortowo i koniecznie bezrefleksyjnie. Rousseau wierzył, że wszystko co jest specyficznie ludzkie – przynależne tylko człowiekowi – jest zdobyczą historyczną, wynikiem samo-stworzenia. Język, którym się komunikujemy, nie jest zdolnością naturalną i nie daje nam żadnego wiarygodnego dostępu do jakiegokolwiek rzeczywistości poza tą, która jest wytworzona przez człowieka. Historia jest zatem błędem, chorobą, która przyniosła nieznośną świadomość śmierci – trzeba się tej świadomości pozbyć oraz żyć jak zwierzę, które nie wie, że umrze.

- Postulat pokonania natury (biologii), a dokładniej postulat poprowadzenia przez człowieka jego postludzkiej już ewolucji. To współczesne nurty nazwane transhumanizmem i posthumanizmem z ich pomyłonymi marzeniami o przeniesieniu naszych świadomości do komputerów lub zastąpieniu ludzi postludźmi o ponadludzkiej inteligencji. Ponieważ „powrót” do stanu inteligentnego zwierzęcia nie jest możliwy – nie jest możliwe wyeliminowanie świadomości śmierci, a ta człowiekowi rzekomo doskwiera – transhumaniści roją o uczynieniu człowieka nieśmiertelnym przez wyzwolenie go ze śmiertelnego ciała i zachowanie w komputerze jego świadomości. Rzecz jasna, by żyć takie rojenia, trzeba zanegować istnienie w człowieku jakkolwiek pojętego pierwiastka duchowego.

- Wydanie totalnej wojny naturze – biologii i prawu naturalnemu – i ogłoszenie, że naturę wybieramy sobie sami jako jednostki i jako społeczeństwo. Niektórzy, jakby przestraszeni posiadaniem ludzkiej natury, opowiadają się za nieograniczoną wolnością jej negocjowania i ogłaszają, że wszystko, co dotyczy człowieka, jest sprawą ludzkiego lub społecznego wyboru, dziś takiego, jutro być może innego.

- Ubóstwienie natury (przyrody) i ogłoszenie, że jesteśmy naturze (przyrodzie) niepotrzebni, a jej dobrostanowi przeszkadzamy.

Na straży takiej ideologii, twórczo ją rozwijając, stoi świetnie do tego przysposobiony współczesny, pooświeceniowy uniwersytet (który ostatnio najlepiej opisał Aleksander Nalaskowski w książce „Bankructwo polskiej inteligencji”). Tymczasem uniwersytet to miejsce kształcenia przyszłych inteligentów, w tym nauczycieli szkolnych, a przecież „takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”.

Nie da się zaprzeczyć, że niektóre albo i wszystkie wymienione wynaturzenia są promowane przez władze unijne i aż nazbyt wiele środowisk opiniotwórczych – ich promocja jest obecna w świecie polityki, mediów, nauki, wśród tzw. celebrytów. Przeciętny obywatel rzadziej słyszy o transhumanizmie, czy mniej drastycznych projektach tzw. ulepszania człowieka, ale są to projekty promowane przez wielu możnych tego świata (np. założyciela Światowego Forum Ekonomicznego Klausa Schwaba) i już z tego tylko powodu są groźne dla przyszłości Zachodu.

Ktoś może powiedzieć, że są te wynaturzenia obce milczącej większości obywateli Zachodu. Ale ta część milczącej większości, która pozostaje wierna językowi i obyczajom swoich przodków – co dzisiejsza awangarda uznaje za wybór irracjonalny! – jest dziś skazana na zamknięcie się we wspólnocie rodzinnej i może jeszcze kółku przyjaciół. Coraz rzadziej włącza się w życie wspólnot kościelnych. Zaś wszyscy razem stanowią niemy proletariatskazany na społeczną bierność, nie tylko nie mając wpływu na kondycję narodowej wspólnoty, ale pozostając pod presją wywieraną przez środowiska owładnięte – autentycznie albo nie, to nieistotne – opisanym tu obłudem. Środowiska te zdołały narzucić język, w którym toczą się wszelkie debaty publiczne i także w tym języku rozprawia się o promowanych przez nie wynaturzeniach. A to musi pogłębiać społeczną konfuzję i w końcu przynosi godzenie się milczącej większości z obecnością tych wynaturzeń w przestrzeni publicznej (np. pogodzenie się z legalizacją transpłciowości). Szerzone historyczne kłamstwa skazują młodzież na utratę poczucia łączności z ich ojczyznami.

Każdy naród potrzebuje elity promieniującej wyznawanym systemem wartości, który jest mocno i od pokoleń osadzony w tradycji i kulturze wspólnoty narodowej. Taka elita ma obowiązek kultywowania zdolności czynienia właściwych rozróżnień moralnych i tym sposobem pomagania wspólnocie narodowej wieść wartościowe życie. Polska – i nie tylko ona – ma taką elitę, ale dziś całkowicie zmarginalizowaną, nie mającą szansy, by oddziaływać na szerokie rzesze. Ale jeśli tak rozumiana elita nie ma tej szansy, to naród ulega degeneracji, zwolna lecz nieuchronnie przestaje być ludem żyjącym godnie we wspólnocie wiążącej pokolenia.

Czy Zachód jest jeszcze w stanie posklejać naczynie, w którym kiedyś kwitła kultura chrześcijańska?

21 kwietnia 2022